

"Ludzie, wake me up, gdy świat, się k*rwa, zmieni" - rozmowa z Brygida Helbig-Mischewski

Do Niemiec wyjechała ponad 30 lat temu. I chociaż nie chce by ją zaszufladkować jako pisarkę polską, albo niemiecką przyznaje, że to polski hymn wywołuje wzruszenie, w meczach pomiędzy Polakami i Niemcami zawsze będzie kibicować tym pierwszym, a przeklinać będzie po polsku. Brygida Helbig-Mischewski, szczecińska – berlińska pisarka nominowana do tegorocznej nagrody Nike opowiada o wyróżnionej książce, przeszłości i życiu z ironicznym uśmiechem.

Elżbieta Sej: Po raz kolejny serdecznie gratuluję nominacji do nagrody Nike. Czy takie wyróżnienie jest dla Pani istotne?

Brygida Helbig-Mischewski: Oczywiście, to jedna z najważniejszych nagród literackich w Polsce, znalezienie się w nominowanej dwudziestce to wielka radość. Daje ona możliwość zaistnienia w szerszych kręgach czytelniczych, co jest marzeniem każdego autora i każdej autorki.

E.S.: Poznała Pani pozostałe 19 pozycji, które zostały nominowane, jak ocenia Pani swoje szanse na to, by zostać finalistką tegorocznej edycji?

B.HM: Nominowanych jest wiele wspaniałych książek, nie sądzę, abym miała szansę na zostanie finalistką tej nagrody. Przeczytałam niedawno „Włoskie szpilki” Magdaleny Tulli (nagrodzone już „Gryfią”) i jestem pod wielkim wrażeniem tej książki.

E.S.: Jest Pani po części szczecińską pisarką. W 2009 roku nominację otrzymała prof. Inga Iwasiów, w 2001 Artur Liskowacki, czy możemy powiedzieć, że Szczecin jest znaczącym miejscem literackim na mapie Polski?

B.HM: Na pewno w tym roku był takim miejscem, gdyż w maju odbył się tu wspaniały festiwal literatury kobiet związany z pierwszą edycją nagrody literackiej „Gryfia”. W związku z tym w Szczecinie gościło wielu znanych pisarek i krytyków literackich, panowała niesłychanie twórcza atmosfera. Do zorganizowania tego festiwalu bardzo przyczyniła się znana i ceniona w kraju i poza jego granicami pisarka wysokiej klasy Inga Iwasiów, mieszkająca w Szczecinie. Zresztą zarówno Inga Iwasiów, jak i świetny pisarz Artur Daniel Liskowacki wraz z innymi zaangażowanymi osobami i instytucjami przyczynili się do powołania nagrody literackiej „Gryfia”. Twórczość Iwasiów i Liskowackiego, ale także np. Alana Sasinowskiego czy Krzysztofa Niewrzędy (mieszkającego aktualnie w Berlinie) i wielu innych związanych ze Szczecinem pisarzy czyni nasze miasto istotnym na literackiej mapie Polski.

E.S.: Książka za którą otrzymała Pani nominację „Enerdowce i inne ludzie” jest próbą rozliczenia się z przeszłością?

B.HM: Jest raczej próbą zrozumienia teraźniejszości, aktualnej sytuacji społecznej i kulturowej panującej w zjednoczonych Niemczech. Ale próbując zrozumieć świat, w którym żyjemy, dać głos tym, którzy są w jakiś sposób w dzisiejszym niemieckim społeczeństwie „przegrani”, sięgam oczywiście do przeszłości, to nieuniknione - do przeszłości „enerdowskiej”, do sposobu, w jaki przebiegało zjednoczenie Niemiec, do pierwszych lat w „nowym” kraju.

E.S.: Czy możemy tę pozycję potraktować jako przełamanie stereotypu, który mówi o tym, iż wszyscy Niemcy cieszyli się z upadku muru berlińskiego?

B.HM: Nie wiedziałam, że taki stereotyp istnieje, w Niemczech nie ma takiego stereotypu. Istnieje natomiast stereotyp wiecznie zadowolonego Ossi, który bezrefleksyjnie tęskni za socjalistyczną przeszłością, hołduje frustracji i nie próbuje nawet osiągnąć sukcesu w nowych warunkach społeczno-gospodarczych. Pewnie moja książka wychodzi poza ten stereotyp, staje jakby po stronie tych, których świat z dnia na dzień pozbawiony został racji bytu. Dla polskich czytelników wszystkie te kwestie

mogą być mało znane, zwłaszcza dla młodego pokolenia. Sytuacja Polaków w roku 1989 była zupełnie inna. Nie mieliśmy wielkiego zachodniego brata, który nas wchłonął.

E.S.: Komu łatwiej było wejść do nowej rzeczywistości po zjednoczeniu Europy? Polakom, czy Niemcom mieszkającym po wschodniej stronie?

B.HM: Paradoksalnie łatwiej było wejść w ten nowy świat Polakom, czuliśmy się podmiotami tej przemiany, nie przedmiotami. Ale może dlatego mamy mniej kontestatorów ciemnych stron aktualnego porządku społeczno-politycznego. Pęd do sukcesu i zapracowywanie się na śmierć, pogoń za symbolami statusu są u nas dużo większe niż w Niemczech. W Niemczech, m.in. dzięki byłym „Enerdowncom” szerszy jest nurt cichego buntu, silniejszy element kontrapunktowy wobec naczelnych wartości obowiązujących w obecnym systemie społeczno-politycznym. Nie znaczy to, że „Enerdowncy” dążą do restytucji realnego socjalizmu, ale są bardziej wyczuleni na elementy dyskryminacji czy krzywdy społecznej, a także na takie kwestie, jak wszechobecny konsumpcjonizm. Starają się propagować wartości związane raczej z relacjami międzyludzkimi niż z sukcesem ekonomicznym za wszelką cenę.

E.S.: W książce stosunek „Enerdownców” do Polaków jest negatywny, jak wygląda to teraz, ponad 20 lat po obaleniu komunizmu?

B.HM: Stosunek „Enerdownców” do Polaków był różny - i negatywny i pozytywny, zależy to od czasu, o którym mówimy, i od kręgów społecznych. Mieszkańcy np. Löcknitz byli oczywiście źli, że opróżniali ich sklepy, funkcjonariusze NRD w okresie działania Solidarności również propagowali negatywny stosunek do Polaków i odgrzewali stereotyp polskiej anarchii, ale byli też ludzie, m.in. sympatycy opozycji politycznej, którzy czerpali wiele inspiracji intelektualnych z nieco bardziej wówczas otwartej na Zachód Polski. Byli muzycy rockowi inspirujący się polską muzyką, np. Czesława Niemena. Byli zwykli ludzie, którzy chętnie jeździli na wakacje do polskich Karkonoszy czy nad Bałtyk. Dzisiaj nadal Niemcy Wschodni bardziej znają Polaków niż Niemcy Zachodni, to oni częściej jeżdżą do Polski, nie mają lęków związanych z naszym krajem – chociaż niektóre stereotypy oczywiście się utrzymują. Ale tu znowu trudno porównać sfrustrowanego bezrobotnego Niemca z prowincji wschodniej do berlińskiego intelektualisty.

E.S.: Skąd czerpała Pani inspiracje do napisania tej książki?

B.HM: Od roku 1995 mieszkam w Berlinie, od r. 1994 pracowałam na wschodnioniemieckim uniwersytecie Humboldtów, tam też miałam okazję poznać mnóstwo byłych „Enerdownców” zdegradowanych naukowo na skutek przełomu roku 1989. Mój berliński krąg przyjaciół składa się w dużej mierze z „Ossis”, chociaż znam dobrze także Niemców Zachodnich, gdyż wiele lat mieszkałam w Bochum, do dziś mieszkam zresztą w Berlinie Zachodnim. Ale co najważniejsze - mam Niemców Wschodnich we własnej rodzinie.

E.S.: I ile w niej znajdziemy Brygidy Helbig?

B.HM: Oczywiście bardzo dużo – nie w sensie konkretnego odbicia faktów z mojego życia, ale to moja osobista perspektywa postrzegania świata. Pisząc nie ukrywam własnych uczuć, poglądów, doświadczeń, przetwarzam je na literaturę oczywiście, ale autentyczność i szczerłość przekazu (nie wierność faktom, tylko szczerłość na głębszym poziomie) dodaje książce, jak mam nadzieję, wiarygodności i atrakcyjności.

Do Niemiec wyjechała ponad 30 lat temu. I chociaż nie chce, by ją zaszufładkować jako pisarkę polską, albo niemiecką przyznaje, że to polski hymn wywołuje wzruszenie, w meczach pomiędzy Polakami i Niemcami zawsze będzie kibicować tym pierwszym, a przeklinać będzie po polsku. Brygida Helbig-Mischewski, szczecińsko – berlińska pisarka nominowana do tegorocznej nagrody Nike opowiada o wyróżnionej książce, przeszłości i życiu z ironicznym uśmiechem.

Elżbieta Sej: W naszej ostatniej rozmowie (pierwsza część wywiadu tutaj) wspomniała Pani, że kiedyś język niemiecki był brzydki i twardy. Jak brzmi dziś? Czy poezja w tym języku może zachwycać tak jak w naszym?

Brygida Helbig-Mischewski: Nie to, że był brzydki i twardy, tylko taki mi się wydawał. Takie postrzeganie języka niemieckiego było typowe dla kultury polskiej, i dla wielu Polaków pozostało tak do dziś. Ja dziś bardzo dobrze odbieram język niemiecki, lubię w języku tym mówić, pisać, prowadzić zajęcia, czytać. Porządkuje mi myśli, uczy dyscypliny, a zarazem ma wielką głębię i dostojne piękno. Daje też sporo materiału do żartów językowych, które uwielbiam. Poezja w niemieckim może być urzekająca, ja osobiście jestem fanką Rainera Marii Rilke.

E.S.: Pisze Pani w języku polskim czy niemieckim?

B.HM: Książki i artykuły naukowe piszę głównie (choć nie tylko) w języku niemieckim. Teksty literackie wymagające sięgnięcia w głąb podświadomości językowej i kulturowej raczej po polsku, ale ostatnio i po niemiecku - to duże wyzwanie. Mój niemiecki literacki bardzo się różni od polskiego. Stawia mi on większy opór, gdyż wychowałam się na lit. polskiej, od małego ją wchłaniałam.

E.S.: Z Polski wyjechała Pani niemal 30 lat temu. Kim Pani jest, jaka jest Pani tożsamość? Jest Pani Polką, Niemką? A może poetką?

B.HM: Arleta Galant napisała ostatnio w „Pograniczach”, że jestem niby, jak podaję w biogramach, pisarką polsko-niemiecką, a tak naprawdę ani polską, ani niemiecką. Jedno i drugie jest prawdą. Mam tożsamość płynną, nie definiuję się głównie przez kategorie narodowe. Oczywiście, gdy Polacy grają mecz z Niemcami, zawsze będę po stronie Polaków. Oczywiście, to polski hymn narodowy będzie wywoływał we mnie łyzy wzruszenia, a nie niemiecki. Przeklinać będę też raczej po polsku niż po niemiecku – może to są właśnie współczesne wyznaczniki przynależności narodowej? A poważnie mówiąc - jasne, na pytanie o przynależność narodową odpowiem, że jestem Polką, chociaż mam od strony ojca korzenie niemieckie i dobrze się czuję także w niemieckiej kulturze. Wolę jednak definiować swoją tożsamość innymi kategoriami – być np. przede wszystkim poetką, dlaczego nie?

E.S.: W Pani książce pada zdanie, które niezwykle mnie urzekło „Ludzie, wake me up, gdy świat się, kurwa, zmieni” - wierzy Pani w to, że w przyszłości nie będzie negatywnych stereotypów, że Niemcy będą jednym narodem, a ci, którzy wychowali się NRD nie będą myśleć, że ich kraj został wchłonięty przez inny, niemiecki, ale jednak obcy?

B.HM: Oczywiście, nie jestem na tyle naiwna, żeby wierzyć że świat się całkiem zmieni. Nie zwalnia mnie to jednak z obowiązku czynienia wszystkiego, żeby tak się stało. Mam nadzieję, że między Polakami a Niemcami, o ile historia nie spleta nam jakiegoś większego figla, sytuacja się poprawi - im więcej kontaktów chociażby w ramach regionów przygranicznych, tym mniej stereotypów. Dobrze by było, gdybyśmy się też intensywniej zaczęli uczyć języka sąsiadów, język otwiera wiele drzwi. Ale fajne jest i to, że młode pokolenia świetnie porozumiewa się po angielsku (po obu stronach Odry) – to też daje szansę na komunikację intensywniejszą niż za tzw. moich czasów. Młode pokolenie Niemców też już pomału staje się jednym społeczeństwem, mentalność Ossi i Wessi oczywiście nie przetrwa wiecznie. A istnienie pewnych różnic kulturowych to wielka szansa dla jednych i drugich na poszerzenie obszarów świadomości i wrażliwości.

E.S.: Postacie Pani opowiadania są nieco toksyczne. Czy w życiu prywatnym spotykała Pani takich ludzi, czy raczej jest to sposób na wyraziste pokazanie ludzi, którzy nie potrafili lub nie chcieli odnaleźć się w nowym państwie. Czy przez tę toksyczność łatwiej było ukazać żal do zachodniej części Niemiec, a może nawet do socjalizmu, który jednak nie przetrwał?

B.HM: Hm, toksyczne - cóż właściwie znaczy to tak modne w dzisiejszym żargonie poradników psychologicznych słowo? Może po prostu są wyraziste, ciekawe, oryginalne, mają ostre kanty? Tak, znam takie osoby, jakie opisuję, chociaż czasem kilka osób znanych mi z „życia” posłużyło do

skonstruowania jednej postaci literackiej. I na odwrót. Oczywiście w literaturze musimy pewne kwestie przejawiać, a ja chętnie stosuję parodię i groteskę – życie musi być przerobione na sztukę i „wyostrzone”, dobrze przyprawione, żeby mogło kogokolwiek zainteresować.

E.S.: Pisze Pani o bardzo poważnych sprawach, ukazuje życiorysy złamane przez historię. Mimo tak poważnej tematyki, Pani książka po granice, jest wypełniona humorem i ironią. Czy to jest Pani recepta na radzenie sobie z nie zawsze słodką rzeczywistością?

B.HM: Jasne. Humor i ironia, także autoironia są moją receptą na życie. Przeciwdziałają frustracji. Transformują wściekłość i złość nie pozwalając tym uczuciom zablokować się i utknąć w depresji czy agresji. Przekuwają cierpienie we współczucie, w uśmiech. Nie powinny jednak zamienić się w cynizm i sarkazm, jeśli tak się stanie, proszę mnie koniecznie zawiadomić.

E.S.: Dla jakiego czytelnika jest Pani zdaniem przeznaczona ta książka i dlaczego warto po nią sięgnąć?

B.HM: Chciałam zainteresować książką czytelników (na razie) polskich - i tych starszych, pamiętających NRD, i tych młodszych, dla których to tylko legenda albo nic nie mówiące słowo. Dla wszystkich, którzy nie są nacjonalistami, nie znoszą dyskryminowania inności, szanują i respektują zarówno siebie samych, jak i innych, lubią się śmiać, także z samych siebie. Dlaczego warto po nią sięgnąć? Może to temat, o którym w Polsce mówi się rzadko, a przecież dotyczy naszych sąsiadów i chyba jednak, także nas – po transformacji, w czasach transkulturowości i migracji.

E.S.: Dziękuję za rozmowę.